dano z dubletów

Nr. 16. ■ 15 Grudnia 1936 r. ■ Rok I.

Czas. 15061/1/16

W SŁUŻBIE PENITENCJARNEJ

DWUTYGODNIK STRAŻY WIĘZIENNEJ

W DZIEŃ BOŻEGO NARODZENIA

M. Jurgielewicz pinxit.

W 1291/75/212

Sejm rozpoczął już pracę.

Ustalonym przez konstytucję zwyczajem w końcu każdego roku kalendarzowego zbiera się Sejm i Senat na sesję zwyczajną, tak zwaną budżetową, gdyż głównym jej celem jest przedyskutowanie i uchwalenie budżetu Państwa. Budżet ten jest to plan dochodów i wydatków, przewidziany na okres roczny, począwszy od 1 kwietnia aż do 31 marca — okres ten nazywa się rokiem budżetowym.

Projekt budżetu opracowuje i zgłasza rząd, a dyskutują nad nim, ewentualnie wprowadzają pewne zmiany i poprawki oraz ostatecznie uchwalają Sejm i Senat. W czasie obrad nad budżetem dyskutowana jest zawsze bardzo gruntownie cała polityka rządu i dlatego sesja budżetowa ma nie tylko gospodarcze, lecz również poważne znaczenie polityczne. Zazwyczaj na otwarciu sesji izb ustawodawczych wygłasza ogólne przemówienie polityczne szef rządu, a później w poszczególnych komisjach oraz na plenum Sejmu i Senatu bronią swych budżetów poszczególni ministrowie.

Tegoroczna sesja budżetowa rozpoczęła się 1 grudnia i obszerne przemówienie na pierwszym posiedzeniu Sejmu wygłosił premier, gen. Sławoj-Składkowski, oraz wicepremier i minister Skarbu inż. E. Kwiatkowski. Gen. Sławoj-Składkowski zaznaczył na wstępie, że rząd jego przygotował do uchwalenia przez Sejm 60 projektów rozmaitych ustaw, a przed ich rozważaniem pragnął poinformować posłów o półrocznym dorobku prac rządu, zaznaczając, że stałym dążeniem jego jest chęć osiągnięcia sprawiedliwości społecznej wobec wszystkich obywateli Polski. Dla ilustracji tych słów przytoczył premier kilka przykładów, a między innymi zaznaczył, że na skutek starań rządu do gimnazjów państwowych weszło w bieżącym roku szkolnym ponad 1000 dzieci chłopskich jako stypendystów gmin wiejskich. W ten sposób najzdolniejsze dzieci będą mogły mimo nędzy materialnej swych rodziców korzystać z dobrodziejstwa nauki.

Wychodząc z założenia równości obowiązków wszystkich obywateli względem Państwa rząd zwrócił baczną uwagę, aby wszyscy płatnicy w jednakowym stopniu wpłacali podatki, zdarzało się tak bowiem, że mniej zamożni płatnicy bywali sumienniejsi od bogatszych, którzy wszelkimi sposobami unikali ponoszenia ciężarów na rzecz Państwa. Ta akcja udała się rządowi i dziś do Skarbu Państwa płyną już pieniądze stamtąd, skąd od dawna nie płynęły. Zaznaczył również premier, że znajdujemy się w stanie powolnej ale stałej poprawy gospodarczej, której objawy spostrzegamy przede wszystkim w poprawie cen płodów rolnych, od czego zależy dobrobyt całego narodu, zwiększenie zatrudnienia w przemyśle metalowym i budowlanym, w stopniowym likwidowaniu bezrobocia i łagodzeniu jego skutków (pomoc zimowa), oraz w zmniejszeniu się ilości strajków w przemyśle.

Przemówienie swe zakończył gen. Sławoj-Składkowski ogólną charakterystyką sytuacji, mówiąc do posłów: «Jeżeli chcecie, Koledzy, usłyszeć prawdę o życiu Polski tak, jak ono się nam, jako rządowi, przedstawia, to Wam powiem, że Polska idzie szczęśliwie drogą, na którą pchnął Ją geniusz Piłsudskiego, drogą wzrastającej pracy i dobrobytu, drogą jedności i cementowania obywateli pod hasłem Wodza Naczelnego, obrony Państwa, drogą wiodącą do krzepnięcia z każdym dniem Jej potęgi».

Następnie wicepremier E. Kwiatkowski zobrazował sytuację gospodarczą Państwa, stwierdzając, że najgorszy okres kryzysu należy już w Polsce do przeszłości, że nasza sytuacja gospodarcza powoli lecz stale i we wszystkich dziedzinach poprawia się. Jest to w pewnym stopniu wynikiem ogólnoświatowych warunków gospodarczych, lecz również w znacznej mierze skutkiem celowych posunięć wewnątrz Polski. Dodatnim objawem jest podniesienie się cen produktów rolnych, przez co wieś zdobywa większe sumy pieniędzy i wobec czego ma możność nabywania większej niż dotychczas ilości produktów przemysłowych. Wpływa to dodatnio na zwiększenie obrotów gospodarczych, uprzemysłowienie kraju i powolny wzrost dobrobytu na wsi, która cierpiała dotkliwą nędzę. Jak wykazał wicepremier Kwiatkowski szeregiem cyfr, poprawa ta bardzo wyraźnie i w dużym stopniu zaznaczyła się w szeregu dziedzin naszego przemysłu. Jednocześnie można zanotować drugi dodatni objaw, a mianowicie wzrost wywozu towarów polskich za granicę, który w porównaniu z rokiem ubiegłym powiększył się przeciętnie o 8 i pół miliona zł. miesięcznie.

Dość wyraźna, choć nie odpowiadająca jeszcze potrzebom Polski, poprawa zaznaczyła się w dziedzinie motoryzacji.

Mamy również w roku bieżącym do zanotowania szereg nowych inwestycyj, przy czym podkreślić należy znaczny rozwój ruchu budowlanego, który w roku bieżącym pochłonął cyfrę około 500 milionów zł.. Wykończono i oddano w bieżącym roku do eksploatacji około 125 klm. nowych linij kolejowych, przyśpieszono elektryfikację węzła warszawskiego, zbudowano 110 klm, nowych dróg państwowych (nie licząc dróg samorządowych), ulepszono nawierzchnię dróg na przestrzeni około 260 klm., podjęto szereg prac elektryfikacyjnych, zakończono budowę zapory wodnej na Sole, buduje się olbrzymią taką zaporę w Rożnowie, rozpoczęto roboty regulacyjne na kresach wschodnich i dokonano szeregu poważnych inwestycyj w Gdyni. W roku następnym, w ramach ogólnego planu inwestycyjnego podjęte będą dalsze prace na szerszą skalę i z większym nakładem środków pieniężnych, przy czym jedną z największych prac będzie realizacja reformy rolnej i pomoc finansowo-gospodarcza dla rolnictwa.

Pozycja rozchodów w zgłoszonym budżecie na rok 1937/38 wyraża się cyfrą blisko 2 miliardów 300 milionów zł., a w porównaniu z budżetem poprzednim zwiększony został o 7 i pół miliona budżet Ministerstwa Oświaty ze względu na konieczność szerokiego rozwoju szkolnictwa powszechnego. Zwiększona również została o kilka milionów pozycja emerytur i rent inwalidzkich. Główną zasadą budżetu jest bezwzględna jego równowaga, to znaczy się chęć uniknięcia za wszelką cenę deficytu, który mieliśmy stale w gospodarce państwowej w ostatnich kilku latach. Do zrównoważenia budżetu obok przestrzegania zasad oszczędnościowych przyczyni

się również reforma systemu podatkowego, oparta o zasadę sprawiedliwości społecznej. Poza równowagą budżetu dalszymi dwoma głównymi zasadami dzisiejszej sytuacji gospodarczej państwa jest stałość naszej waluty i uprzemysłowienie kraju.

Kończąc swe przemówienie sejmowe, minister Kwiatkowski podkreślił szereg najważniejszych postulatów na przyszłość, mówiąc między innymi, że «Polska musi mieć swój pion polityczny, społeczny, gospodarczy i kulturalny, ustawiony na podstawie świadomości swych własnych, odrębnych zadań natury idealnej i natury materialnej. Pierwiastki poczucia narodowego muszą pozostać na trwałe sprawdzianem naszych poczynań, gdyż tym uczuciem zwyciężaliśmy zawsze w przeszłości i tą samą bronią zwyciężymy w przyszłości... Musimy szukać nowych form organizacyjnych w gospodarstwie i nowych form prywatnej, zdrowej inicjatywy i przedsiębiorczości, bo Polska musi się rozwijać gospodarczo, bo wszystkie czynne i mocne elementy w Państwie muszą być wciągnięte do pracy dla Państwa».

Cały naród z radością przyjmuje stwierdzenie naszej poprawy gospodarczej, jednak musimy wszyscy zdać sobie sprawę z tego, że poprawa ta będzie postępować stopniowo, a stopień jej i trwałość uzależnione będą w dużej mierze od gorliwości, z jaką ustosunkujemy się do wskazań gospodarczych rządu i od wysiłków naszych w ich realizacji. Od nas samych zależy, jak szybko kroczyć będziemy drogą zmierzającą do tego, aby podciągnąć Polskę wzwyż.

STEFAN BATORY.

(W 350-lecie zgonu)

Gdy się przegląda karty historii dawnej Rzeczypospolitej, w podziw wprawia bogactwo wydarzeń i żywotność rządzącej wówczas szlachty. Zarówno jednak ustrój państwa, jak i prowadzone wyprawy wojenne nasuwają refleksje, że w dawnej Polsce brakowało mądrego kierownictwa, które by bogactwo myśli, fantazji a nawet czynu ujęło w szranki organizacji, stwarzającej potęgę państwa i szczęście obywateli. Przebogate i przepiękne karty historii złocone są rzadko nazwiskami władców, którzy wybitną swą indywidualnością wybiegli ponad miarę czasów, czy poszczególnych epok.

Po śmierci ostatniego z Jagiellonów, króla o sympatycznej sylwecie, Zygmunta Augusta, wiele było kłopotu ze zdecydowaniem się na wybór panującego, którym oczywiście nie mógł być ktoś rodem z Polski, bo niemądra buta szlachecka nie pozwalała na to, i za tym oglądano się na zagranicę, aby stamtąd sprowadzić sobie «panującego», ale nie «rządzącego», bowiem Rzeczypospolitą rządziła przecież wszystka szlachta i za nic nie odstąpiłaby tego zdobytego przez całe wieki przywileju.

W takich to czasach po sromotnej ucieczce Henryka Walezego, gdy w kraju zapanował oburzający chaos, proponowano na króla Polski cara Iwana Groźnego, spodziewając się ewentualnego przyłączenia Rosji do Polski, jak Litwy za Jagiellonów; to znów silne dość prądy proniemieckie wysuwały kandydaturę Maksymiliana II austriackiego, aż wreszcie wysunięto i Węgra, księcia siedmiogrodzkiego, Stefana Batorego. Król ten został wybrany przez szlachtę i złożywszy przysięgę na Węgrzech dnia 8 lutego 1576 roku wyruszył niezwłocznie do Polski, aby przede wszystkim usunąć swego rywala Maksymiliana II.

Stefan Batory, obejmując ster państwa Polskiego, był mężem zrównoważonym, liczącym wówczas lat 44, a że otrzymał staranne wykształcenie, oraz praktycznie zapoznał się ze sztuką rządzenia w rodzinnym Siedmiogrodzie, przeto przybył do Polski już jako władca wytrawny i rozumny. Ale nie tylko nabyte wiadomości miały stanowić o jego kwalifikacjach na króla, bowiem zdolności wrodzone i starannie kultywowane dopiero mogą o tym stanowić. Batory takie zdolności posiadał i to było wielkim ówczesnym szczęściem Rzeczypospolitej.

Posłannictwo swe spełniał król Batory z całym oddaniem służbie, do której stanął, poświęcając jej wszystkie swe siły i cały wielki talent. Kierowanie

STEFAN BATORY. (Kopia Zamojskiego z obrazu Matejki).

nawą państwową w rzeczypospolitej szlacheckiej było nielada zadaniem. W pierwszych chwilach swego panowania musiał Batory skłonić Gdańsk do uległości, ten bowiem opowiedział się za Maksymilianem. Walka nie była łatwa, bo gdańszczanie stawili opór zaciekły, a Rzeczpospolita, nie posiadająca regularnego wojska, zdana była na łaskę szlachty. Wojna nie mogła się odbyć bez pieniędzy, ale szlachta niechętnie je zawsze asygnowała; gdy się jednak król odwołał bezpośrednio do sejmików, a nadto wystąpił zdecydowanie, wołając w oburzeniu, że przecież królem jest i to «nie glinianym ani malowanym» znalazły się subsydia i Gdańsk po wielu trudach zmuszony został do uległości, a zapłaciwszy olbrzymią kontrybucję, uzyskał potwierdzenie swych praw oraz amnestię.

Król Stefan Batory w rządach swych opierał się na szlachcie, a starając się autorytet swój umocnić i zjednać najszersze warstwy szlacheckie, przychylił się do utworzenia Trybunału Koronnego w roku 1578, a w trzy lata później i litewskiego. Według bowiem ówczesnych poglądów, najwyższa władza sądownicza należała do króla i on był źródłem sprawiedliwości, a że sądy apelacyjne nie były znane, sprawy w trybie apelacyjnym były załatwiane przez sejm ogólnopolski, a przy dość znacznym pieniactwie szlachty zalegały tysiące niezałatwionych spraw. Batory, zrzekając się uprawnień przez stworzenie Trybunału, będącego sądem apelacyjnym i najwyższym w sprawach cywilnych, zyskał sobie tym bardziej uznanie szlachty i przychylność przy dalszych swych zamierzeniach wojennych.

Za czasów Iwana Groźnego Rosja, gdzie panowało prawosławie, doszła do znacznego rozkwitu, a car zamierzał zaanektować Inflanty, co przy uwzględnieniu chwiejności tamtejszej ludności mogło się skończyć katastrofalnie dla Polski. Batory zbyt był bystry, by tego nie przewidywać, to też, aczkolwiek szczery katolik (przestrzegał jednak ściśle równouprawnienia religijnego), zawarł sojusz z Turcją, a awanturniczych przywódców kozackich, niepokojących Turcję i Wołoszczyznę, kazał ściąć. W roku 1578 na sejmie król, pragnąc zorganizować regularne szeregi wojska, spowodował uchwalenie stworzenia piechoty wybranieckiej, złożonej z włościan lub mieszczan, a nadto uchwalenie wielkich podatków, wiedząc, że szlachta nie zawsze jest pewnym elementem wojskowym, oraz, że bez pieniędzy nikt wojny nie wygrał.

Po uroczystym wypowiedzeniu wojny w dniu 26 czerwca 1579 roku rozpoczął król wojnę o charakterze wprost europejskim, walczył bowiem katolicki Zachód z bizantyjskim Wschodem. Wojsku przewodził król osobiście, prowadząc wojnę na sposób nowoczesny i zdobywając w dwa miesiące Połock. Sejm uchwalił nowe podatki dla dalszych poczynań króla-wojownika. Kampanię wojenną podjęto, a we wrześniu 1580 roku zdobyto twierdzę Wielkie Łuki. Batory ponownie zażądał od sejmu pieniędzy, uchwalono dalsze podatki, aczkolwiek było to już wielkim obciążeniem dla ówczesnego społeczeństwa. Wojska polskie posunęły się dalej pod wielką twierdzę Psków i tam za pośrednictwem wysłannika papieża, jezuity Possewina, w styczniu 1582 roku zawarto rozejm (t. zw. zapolski) na lat 10, mocą którego Polska odzyskała Inflanty i województwo połockie, a w wyniku prowadzonych wojen Moskwa na długo została odepchnięta na wschód i od Bałtyku.

Król Stefan Batory nie był tylko znakomitym wodzem, ale myśl jego ogarniała całokształt spraw polskich. Rządzenie w ówczesnych czasach przy wybujałym indywidualiźmie Polaków, który jest przyrodzoną cechą naszego charakteru, było bardzo trudne. Batory wnikał w każdą sytuację i zawsze występował jako wysoce sprawiedliwy, ale jednocześnie bardzo surowy i konsekwentny. Okazawszy kozakom przed wyprawami na Moskwę twardą rękę, po wojnie starał się uregulować ich stan prawny i potwierdził prawa, nadane im jeszcze za Zygmunta Augusta. Z warchołami postępował z całą surowością prawa i Samuela Zborowskiego, któremu wiele zawdzięczał przy zdobyciu korony, a który następnie przeciw niemu powstawał, kazał ściąć jako banitę (1584r.), a brata jego Krzysztofa skazał na konfiskatę dóbr i wygnanie.

W umyśle króla Stefana, jak w duszy każdego wielkiego wodza, tkwiły plany daleko wybiegające w przyszłość. W sprawach wewnętrznych zmierzał do unicestwienia stronnictwa austriackiego, jako obcego narodowi polskiemu i zaprzedającego go w przemożne wpływy niemczyzny, natomiast popierał katolicyzm, faworyzując przede wszystkim bardzo wówczas czynny Zakon Jezuitów, zakładał liczne szkoły, a szkołę wileńską w roku 1579 podniósł do godności akademii. Z Moskwą zamierzał się rozprawić ostatecznie, przygotowywał się przeto do tych poczynań nader ostrożnie i dokładnie, urabiając przede wszystkim opinię w kraju i szykując środki finansowe.

Nieubłagana śmierć zabrała przedwcześnie wielkiego wodza narodu w chwili gorączkowych przygotowań. Zmarł król Stefan bezpotomnie dnia 12 grudnia 1586 roku w Grodnie. Historia stawia Batorego w rzędzie najdzielniejszych królów Polski jako równego Chrobremu, Kazimierzowi Wielkiemu i Jagiellonom. Gdyby w następnych epokach powtarzały się takie wybitne indywidualności o światłych umysłach i wielkich charakterach, to niewątpliwie w kartach naszej historii nie byłoby znane słowo—niewola.

St. Szwedowski.

«Bóg się rodzi, moc truchleje...»

(Z obrzędowości świąt Bożego Narodzenia).

Pada śnieg... Kotłuje się kurniawa po szczytach i dolinach Gorców.

Wirują w powietrzu białe płatki, miotane srogimi podmuchami lutej zimy. Wichrzysko szarpie chmury po niebie i pędzi je szybkim lotem, wysoko, wysoko... Gwiazd jest mało, ale świecą zato jasno, widoczne na ciemnym, granatowym firmamencie.

Chałupy potonęły w zaspach śnieżnych, co natrętnie sięgają aż po małe okienka, na których zamróz wymalował fantastyczne srebrzyste kwiaty.

Otwierają się cicho drzwi izby. Ktoś mały, skurczony, przebiega szybko przez podwórze, zapadając się po pas nieomal w kopnych zaspach śnieżnych.

Wiatr ustał na chwilę i słychać jak skrzypią wrzeciądze obory. Dziecko uchyla z trudem ciężkich wrótni. Ogarnia je ciepły mrok. Dzwonią cicho łańcuchy, którym związane są krowy do żłobów. Parska niecierpliwie gdzieś obok koń, wyciągając rzucone za półdrabki naręcza wonnego szeleszczącego siana.

Dziecko tai oddech w piersi. Stoi i słucha. Zamyka oczy i czeka na cud. Na chwilę przedziwną, jedyną w roku, gdy bydło odezwie się ludzkim głosem, gdy koń, wół, krowa zaczną zwierzać wzajemnie swe smutki i radości.

Przecież to dzisiaj dzień Bożego Narodzenia... Mówili starzy dziadkowie, że dzieją się wtedy rzeczy dziwne, cudowne. Jak w bajce...

Dziwi się matka i ojciec w izbie, gdzie się ich córeczka podziewa. Gazda nie wierzy w cudy. Macha pogardliwie ręką, gdy mu coś gadają o rzeczach nadprzyrodzonych, nie do pojęcia. Idzie szukać córki.

Znajduje ją w obórce, jak stoi cichutko, przytulona do chropawej ściany, zbitej z tęgich bierwion jodłowych.

— Czego tu, Jagniś, szukasz?

— Cichajcie, tato, nic nie mówcie. Będzie cud...

Śmieje się gazda. — Jakie tam zaś cudy... — ręką pogardliwie macha.

Wiatr zawiał przeciągle, żałośnie. Odpowiedział mu gdzieś zdala jakiś głos dziwny, przejmujący. Jakby wilk, z lasu zimą wygoniony, albo człowiek nieszczęśliwy, wołający ratunku, pomocy...

Dziwnie się robi gazdzie. Bierze córeczkę za rękę.

Słuchają oboje jak słoma chrzęści, jak trzaskają gonty na mrozie.

I nagle: cisza. Milczenie zupełne. Zacichły nawet senne oddechy zwierząt.

A potem dźwignął się ciężko w mroku stary siwy wół, co swe spracowane kości na zmierzwionej słomie rozciągał i odezwał się. Tak, odezwał. Ludzkim głosem. Grubym i ponurym, co brzmiał, jakby z głębiny studni, głucho jakoś i obco. Mówił do drugiego wołu, z którym pospólnie od lat w twardym jarzmie chadzał.

«Wstań, bracie, a ugryź barłogu,
Bo powieziemy gazdę do grobu»...

Mróz wionął gazdzie po kościach. Spojrzał na córeczkę, której dłoń była chłodna jak lodowa sopla.

Szopka góralska.

— Słyszałaś, Jagniś? powiedz?...

A jej usta zbielały. Mówić nie może i tylko jej łzy żarliwe po twarzy płyną.

Nadsłuchują oboje. Nic, cisza. Woły sapią spokojnie, wiercą się na szeleszczącej słomie, podzwaniają łańcuchami...

Mówią ludzie, że się to działo kędyś na zboczach Gorców, nad Rabką. A gazda, co nie chciał wierzyć, że jest taki dziwny dzień w roku, kiedy wszelkie bydlę ludzkim głosem przemawia — zmarł nazajutrz. Może...

— — — — — — — — — — — —

I znów pada śnieg. I znów jest zima. Szeroka, bezkresna, białoruska.

Święta Bożego Narodzenia. Krząta się gospodyni po wymiecionej do czysta izbie. Stół i ławy aż lśnią od białości, a i wielki piec w rogu jest świeżo pociągnięty.

Wyciąga skrzętna gospodyni z szafy pachnące kołacze własnego wypieku. Zebrały się wokół dzieci. Patrzą na przysmaki i tylko się oblizują. Trzeba czekać aż starsi spróbować dadzą.

A tu jeść się tak chce i do tego takich wyśmienitości.

— Czekajcie, dziatki, czekajcie — mówi matka. Układa z tych kołaczy na stole jakoweś sterty. Piętrzą się góry smakowitego jadła. «Oj, dobra rzecz te święta Bożego Narodzenia» — myślą dzieci — «Do szkoły nie trza iść, w domu ciepło, ojciec i matka łaskawi, po głowie pogłaszczą, dobrego kołacza dadzą...

Wchodzi ojciec ze dworu. W sieni buty ze śniegu otrzepuje; skoczyły dzieci, by mu pomóc ściągnąć wielką baranicę. Zimno. Na dworze słońce, śnieg skrzy się, aż oczy bolą patrzeć. Jasno jakoś i radośnie. Odrazu widać, że to dzień Bożego Narodzenia nadchodzi.

Wbiegają dzieci za ojcem do izby. Ale gdzie matka? Patrzy ojciec, patrzą dzieci, a matki nie widać.

Aż tu słychać głos jej. Poza stertę kołaczy skryć się musiała.

— Czy widzisz mnie?

— Nie widzę — mówi ojciec powściągliwym głosem, a dzieci się radują z tej dziwnej rozmowy.

— Obyś świata nie dojrzał za stajniami, za kopcami, za wozami...

Wyłania się matka z poza stołu. Minę ma poważną. Rozgląda się w około. A teraz ojciec przysiadł nisko, głowę schylił i pyta:

— Babo, czy widzisz mnie?

— Nie widzę.

— Obyś świata nie widziała za ogórkami, za harbuzami, za kapustą, za burakami...

Dziwią się dzieci coraz bardziej, ale nic nie mówią. Jak starsi zechcą — sami powiedzą. Powiedzieli potem rodzice, częstując łaskawie przy stole kołaczami, że to tak prastarym zwyczajem trzeba zaklinać urodzaj, by się w gospodarstwie dobrze darzyło, by niczego nie zbrakło.

«Tak robili starzy, tak i my robimy»... A dzieci myślą sobie pocichu: «jak dorośniemy, to i my na Boże Narodzenie będziemy urodzaj zaklinać... Bo dobrze szanować stare obyczaje, co je nasze pradziady na Białorusi naszej od wieków znały»...

— — — — — — — — — — — —

M. Jurgielewicz pinxit.

Z gwiazdą i turoniem.

Chodziły chłopaki po kolędzie z szopką. Z samego przebierania więcej uciechy mieli, niż z tych wszystkich darów, co to im gosposie nie szczędziły.

Dobra świąteczna strucla, kołacz, garść orzechów kiełbasa, ale i bez tego graliby chyba przez całą noc te swoje «Kumedyje». W tym roku mieli nowość. Ale właściwie, to nie była wcale nowość. Nawet odwrotnie — raczej coś bardzo starego, tylko, że o tym dopiero teraz na nowo sobie przypomniano.

A było to tak: przyglądał się ich szykowaniu do szopki stary dziadek. Siwy jak gołąb, zgrzybiały. I z nagła pyta: «a turonia gdzie macie?» Zgłupieli chłopcy. Nie wiedzieli co to za «turoń».

Tłumaczy im dziadek cierpliwie, jak to dawniej, a jeszcze i za jego młodych lat, stale chłopaki z turoniem latały. Że to pamiątka czasów bardzo dawnych, kto wie: może i pogańskich, gdy jeszcze w naszych puszczach żyły tury, zwierzęta do dzisiejszych żubrów podobne, tylko, że bardziej srogie i dzikie.

Więc się jeden z kolędników cały otulał w skóry i chodził tak po wsi, ruszając wielką paszczęką, przemyślnie sporządzoną. Kobiety i dzieci bały się turonia, a on je gonił z krzykiem i srogim kłapaniem ogromnego pyska.

Posłuchali chłopcy dziadka i też z «turoniem» po wsi chodzili. Nabożne kolędy śpiewając, a turoń kiwa wielką głową i dzieci straszy gorzej niż śmierć, co Króla Heroda w szopce do piekła porywała.

Chodzą kolędnicy po wsi, szopką ludzi zabawiają. I dziwią się, że święta jakby wszystkich odmieniły. Znikły bijatyki i swary, nawet dla bydląt lepsi się stali ludzie.

Kreślą po chałupach święconą w kościele kredą trzy litery «K. M. B.», stawiają snopki żyta po kątach (niech dobrze plonuje), stół łańcuchem opaszą, aby się chleb trzymał i nie uciekł, a pod stołem pług kładą, by krety z pola wypłoszył.

Wieczorami brzmią kolędy. Niosą się wysoko pod chłodne zimowe niebo gorące głosy:

«Bóg się rodzi — moc truchleje...»

A różne i dziwne są moce, co panują w święte dnie Bożego Narodzenia...

Stan. Smol.

Jak trafić do duszy więźnia?

Na to pytanie chcę odpowiedzieć w niniejszym artykule. Dla uniknięcia nieporozumień zaraz na wstępie muszę zaznaczyć, że artykuł ten nie jest jakimś studium duszpasterskim, a jedynie rzutem kilku myśli, które mi się nasuwały w czasie moich wędrówek po więzieniach. Artykuł ten dzielę na dwie części. W pierwszej części mówić będę o więźniu, a w drugiej o kapelanie.

I.

Przestępca — jest człowiekiem. Ma on więc te same ogólno-ludzkie właściwości, jakie posiada każdy człowiek. Ma on więc swoje dobre i złe strony. By poznać duszę przestępcy trzeba dotrzeć do źródła przestępczości i dlatego też stawiam pytanie: jaka jest psychologiczna przyczyna przestępczości?.

Jakkolwiek na to można znaleźć dużo i czasami nawet, w zestawieniu ze sobą, sprzecznych odpowiedzi to jednak — moim zdaniem — każdy przestępca jest wielkim, namiętnym miłośnikiem wolności, takiej jaka istnieje w jego świadomości. Tę wolność niekoniecznie musi on ujmować intelektualnie w postaci jakiejś idei wolności. On ją poprostu odczuwa. To umiłowanie wolności u niego przejawia się w wielkim umiłowaniu swobody działania. I ta właśnie hiperboliczna swoboda działania, dla której nie istnieją żadne tamy moralne, żadne przepisy prawne, jest przyczyną psychologiczną przestępczości. Przestępca więc jest typem człowieka, który najwyżej ceni swobodę działania — i nie znosi żadnego przymusu.

Na wolności żyje on wrażeniami. Różnorodność zaś wrażeń zależy od siły napięcia swobody działania: czym większe jest napięcie tej swobody działania tym silniejsze i bardziej różnorodne są wrażenia. Przestępca nie może żyć spokojnie, jak każdy «normalny i porządny» człowiek. Bo takie «normal-

ne i porządne» życie nie nasyciłoby jego głodu wrażeń i nie dałoby mu możności wyładowania nazewnątrz tej dynamicznej chęci swobodnego działania.

Kiedy przestępca znajdzie się z tamtej strony kratek, nie przestaje on przez ten fakt cenić nade wszystko swobody działania i wrażeń. Nowicjusza warunki życia więziennego napawają strachem, załamują go może nawet; jednak na stałego bywalca powrót do więzienia nie robi wrażenia, bowiem traktuje on to więzienie jako miejsce odpoczynku, miejsce schronienia, miejsce, które uważa za swój dom. Mimo wszystko jednak te warunki życia więziennego odbierają mu możność wyładowania dynamicznej chęci swobodnego działania i swoim unormowanym życiem wprowadzają zamiast różnorodności wrażeń monotonię.

Więzień wówczas ratuje się jak może. On nie chce żyć rzeczywistością — i dlatego żyje fantazją, marzeniami, projektami na przyszłość. Jeżeli okoliczności pozwalają, to najchętniej rozmawia i zawsze najchętniej rozmawia z kimś, do kogo ma zaufanie, względem kogo ma tę pewność, że ten ktoś nie doniesie, że ten ktoś nie jest przez kogoś podsunięty. Dlatego to więzień szuka i tęskni w więzieniu za jakimś przyjacielem, z którym mógłby szczerze i otwarcie mówić.

Do administracji więziennej odnosi się on z pogardą i lekceważeniem. Więzień jednak umie to uczucie pogardy i lekceważenia pokryć maską posłuszeństwa i szacunku, bo wie, że inaczej źle by na tym wyszedł. Gra więc komedię — a dopiero wtedy, kiedy jest sobą, kiedy ma szczerego przyjaciela, kiedy może z nim rozmawiać w cztery oczy — daje upust pogardzie i lekceważeniu. Tego faktu nie zmieni może nawet najbardziej sprawiedliwe postępowanie administracji, bo źródłem tej pogardy, nienawiści i lekceważenia jest świadomość, że b e z p o ś r e d n i o administracja więzienna pozbawia go wolności. Zresztą taka jest już nasza natura, że prawie każdy człowiek, kiedy znajduje się w twardych warunkach życiowych, stara się znaleźć winowajcę swej sytuacji poza sobą, a także kogoś, kto byłby piorunochronem jego gniewu. W naszym wypadku, nawet najsprawiedliwsze postępowanie administracji nie przywróci więźniowi wolności — a więc nie usunie źródła nienawiści, pogardy i lekceważenia.

Łagodne postępowanie administracji może więźniowi ułatwić znoszenie ciężarów życia więziennego, co on bardzo mile odczuwa, ale — wątpię — czy to odczucie wpływa na zmianę jego stosunku do administracji.

Na wstępie powiedziałem, że każdy przestępca jest człowiekiem, a w człowieku, jak w każdym człowieku, jest poczucie religijności. I dlatego trzebaby było z kolei rzeczy zbadać, jaki jest stosunek przestępcy do religii na wolności, a jaki w więzieniu.

Na wolności przestępca nie ma czasu myśleć o religii: jest on więc człowiekiem niereligijnym. Bo przeżycia religijne wymagają skupienia, osamotnienia, spokoju i ładu. A tego wszystkiego przestępcy na wolności brakuje. A więc przeżycia religijne są dla niego na wolności niedostępne. On jest zajęty wyładowywaniem na zewnątrz swej swobody działania, on jest pochłonięty przez różnorodność wrażeń, tak, że niema czasu ani ochoty zajmować się sprawami religijnymi, sprawami swej duszy. A choćby nawet i miał sposobność zająć się sprawami swej duszy, kiedy nawet sumienie może czasem zacznie mu wyrzucać to, czy owo — robi wówczas wszystko, by zagłuszyć w sobie ten głos, bo nie ma ochoty, a może i sił, by zmienić ten swój tryb życia. Zresztą po za nim widzi on tylko beznadziejną pustkę i szarzyznę.

Tak jest z nim na świecie. A w więzieniu? W więzieniu ma bardzo wiele wolnego czasu, z którym nie wie co robić. Ma też straszną monotonię życia, której znieść nie może. Chociaż zmniejszają ją książki, nauka szkolna, spacer, rozmowa, czy inne drobne zajęcie, wszelako nie do tego stopnia, ażeby więzień tej monotonii nie odczuwał czasami nawet w bardzo przykry sposób. To są dwaj sprzymierzeńcy, dzięki którym można rozbudzić tę duszę do życia religijnego.

Przestępca w więzieniu, nie pobudzony do życia religijnego, dalej duchowo spać będzie.

W nim mogą zaostrzyć się lub rozwinąć pewne zmysłowe zdolności, jak słuch, spostrzegawczość, lub bystrość, zmysł kombinowania i t. d., jednak tak, jak na wolności nie miał on czasu zająć się sprawami duszy, tak znowu teraz w więzieniu nie pobudzony do tego, nie będzie chciał się nimi zajmować. Bo większą siłę atrakcyjną będą miały dla niego marzenia, wspomnienia i plany na przyszłość, niż rozważania o duszy i Bogu. Tylko w bardzo wyjątkowych wypadkach może nastąpić samorodne, względnie samodzielne, rozbudzenie się duszy.

Z tego wypływa jedna konkluzja: wszelkimi siłami należy dążyć do tego, by rozbudzić tę duszę. Kto tego może najłatwiej i powinien dokonać? Oczywiście tylko ksiądz.

II.

Jakże więc ksiądz ma rozbudzać te biedne dusze więźniów, jak ma on trafić do nich? Trzeba do tego dążyć najprostszą oraz najkrótszą drogą. Żeby zaś znaleźć się na tej drodze trzeba wiedzieć, czego należy unikać, co zaś czynić, by ta droga była jak najprostsza.

Moim zdaniem — w pierwszym rzędzie nie powinien kapelan występować wobec więźniów w podwójnej roli: jako kapłan i jako urzędnik administracji więziennej. Bo ta podwójność roli zamknie mu dostęp do dusz więźniów. Oni będą w nim przede wszystkim widzieli członka znienawidzonej administracji, a nie będą patrzeć na niego jak na zastępcę Jezusa Chrystusa, który przychodzi im głosić dobrą nowinę. Dla tego też może lepiej byłoby, gdyby kapelan działał i występował wobec więźniów raczej jako członek patronatu więziennego i raczej z tym ostatnim był bardziej związany, jak z administracją więzienną.

Nie powinien następnie występować tylko w oficjalnej roli nauczyciela więziennego ani wogóle w roli człowieka mającego jakąś władzę. Bo te dusze nienawidzą wszelkiej władzy, dzięki której (w ich pojęciu) znalazły się w więzieniu. I dlatego w jakikolwiekbądź sposób władza zamanifestowana przez kapelana zamyka mu dostęp do dusz.

Wreszcie musi kapelan stanowczo unikać odwoływania się do pomocy władz administracyjnych, w razie ewentualnego konfliktu między nim a więźniami. W takich wypadkach lepiej być stroną pokrzywdzoną i w milczeniu oraz w pokorze chrześci-

jańskiej wszystko znieść, z serca przebaczyć, dobrym za złe zapłacić, a nie szukać nieubłaganej sprawiedliwości, zakutej w twarde paragrafy regulaminu więziennego.

Kiedy więc tych trzech rzeczy będzie unikał kapelan, otworzy on sobie przez to drogę do dusz więźniów.

Oczywiście, że przy tym wszystkim kapelan zawsze musi pamiętać, że psychologia więźnia jest odmienna od psychologii człowieka, żyjącego na wolności, i że do tej psychologii musi być dostosowana cała jego praca duszpasterska. Z braku miejsca nie można tu dawać szkicu psychologii więźnia — zaznaczę tu tylko to, że ogólnie znaną jest wrażliwość więźnia nawet na t. zw. najmniejsze drobnostki, szybkość reakcji, początkowa nieufność wobec nowych ludzi, bardzo delikatne, czasami nawet przesadne, poczucie własnej godności i wartości. Wiadomym jest, jak bardzo więzień pragnie tego, ażeby w nim widzieć raczej człowieka nieszczęśliwego, jak zbrodniarza, jak przykro odczuwa niedotrzymanie obietnicy, czy niedelikatne wypytanie się o jego przeszłość, jak szczerze pragnie by mu ufano, by go rozumiano i traktowano tak, jak traktujemy człowieka wolnego, nam równego.

Na ogół więźniów cechuje dobra pamięć (może to jest skutek szczupłości wrażeń w życiu więziennym) i to co słyszą, pamiętają i myślą nad tym długo.

Dlatego też postępowanie kapelana musi być odpowiednie: on zawsze przy swej pracy musi pamiętać, by trzciny nadłamanej nie złamać zupełnie, ani nie zgasić tlejącego lnu. Ażeby to osiągnąć, kapelan musi iść drogą modlitwy i pracy nieustannej nad sobą, by nie stało się to, co jest najgorsze: by ślepy nie prowadził ślepego...

Sądzę, że w więzieniu kapelan musi stosować metodę indywidualnego duszpasterzowania. Do każdego więźnia powinien podejść indywidualnie, to znaczy powinien dostosować odpowiednią metodę, uwzględniając jego całą strukturę psychiczną i fizyczną. Trzeba też zawsze brać pod uwagę dobre i złe strony więźnia jako takiego oraz jego warunki życiowe, trzeba uwzględniać jego przeszłość oraz przyczynę osadzenia go w więzieniu, jak również to, czy więzień pierwszy raz odbywa karę, czy też jest on już więcej razy karany.

Jeżeli to tylko jest możliwe, to bardzo wskazanym jest przeprowadzenie segregacji więźniów. Ułatwia to nauczanie religii, chroni od ujemnego wpływu zdeprawowanych jednostek, przy czym ma się do czynienia w tym wypadku z bardziej jednolitym elementem.

Nie ulega chyba najmniejszej wątpliwości, że najważniejszym czynnikiem w rozbudzaniu dusz, a więc i dusz więźniów, są Sakramenta św.. Naczelnym przeto dążeniem kapelana powinno być, by więźniowie jak najczęściej korzystali z nich. By jednak doprowadzić więźniów do przystępowania do Sakramentów św., trzeba długiej, cierpliwej i mozolnej pracy.

Do tego przygotowania w warunkach więziennych najbardziej nadaje się nauka religii.

Tu nasuwa mi się taka metodologiczna uwaga: w nauczaniu religii kapelan musi stanowczo wystrzegać się oficjalności. Ta nauka powinna być wspólną, nie wymuszoną, swobodną, czasami nawet wesołą pogawędką, w czasie której więzień mógłby swobodnie wypowiedzieć wszystkie swoje wątpliwości, czy poglądy. Według mego zdania kapelan powinien naukę religii prowadzić tak, by stawiać kwestię, zaciekawić nią ogół więźniów i nie samemu tę kwestię rozwiązywać, lecz raczej dać możność rozwiązania kwestii samym więźniom. Kapelan nie powinien nigdy zapominać o tym, że wielką przyjemnością dla więźniów jest sposobność zebrania się razem, a zwłaszcza tam, gdzie więźniowie siedzą pojedyńczo. Musi też pamiętać o tym, że więźniowie czas wolny spędzają na marzeniach—planach—często zbrodniczych, albo wspomnieniach — przechwałkach z dawnego życia. Z jednej więc strony nauka religii powinna też być przyjemną pogawędką, a z drugiej musi ona dawać więźniowi materiał do myślenia i dysputowania, by on mógł mieć w miejsce tych marzeń i wspomnień—temat do odpowiednich rozmyślań i dyskusji.

Naturalną i zrozumiałą jest rzeczą, że do takiej nauki religii trzeba się starannie przygotowywać, trzeba wnikać w dusze poszczególnych uczniów, starać się ich poznać i naukę religii nie brać abstrakcyjnie, tylko umieć ją powiązać ze wszystkimi zagadnieniami współczesnego życia (kwestia socjalna). Wszystko to może osiągnąć kapelan modlitwą, studiami, tudzież swą indywidualną pracą myślową.

Myślę, że w ten sposób prowadzona nauka religii może dać bardzo dodatnie wyniki i rozbudzić te dusze do życia duchownego.

W swoich kazaniach kapelan starannie powinien unikać poniżania swoich słuchaczy. Zdaje mi się również, że temat kazań w więzieniu nie powinien być wyłącznie moralizatorski. Najlepiej byłoby mówić kazania katechizmowe, lub opowiadać o życiu Pana Jezusa i w tym celu dobrze byłoby opracować taki cykl kazań, który w ciągu roku wyczerpywałby cały żywot Pana Jezusa na ziemi.

Opowiadając o życiu Boga-Człowieka, w każdym prawie kazaniu można i trzeba podkreślać wielkość powołania chrześcijańskiego oraz wielką godność chrześcijanina jako człowieka, którego Bóg przyszedł odkupić i dać mu prawdziwą wolność Synów Bożych.

Wreszcie kapelan powinien starać się jaknajczęściej nieoficjalnie stykać się z więźniami. W takich swobodnych pogawędkach powinien umieć i pożartować i zaśmiać się—czasem i skarcić—ale zawsze z miłością i taktem. W miarę możności powinien im okazywać bodaj drobną pomoc materialną zawsze jednak płynącą z głębokiej miłości chrześcijańskiej. Słowem —kapelan powinien dbać o to, by dla więźniów być przyjacielem, ojcem, matką—znacznie też ułatwi sobie kapelan pracę, gdy zawsze dbać będzie o to, ażeby więźniowie mieli odpowiednią lekturę.

Jeszcze jedna—może nawet zbyteczna nasuwa mi się uwaga: kapelan tak powinien żyć, jak uczy. Wtedy dopiero zdobędzie sobie posłuch, szacunek, zaufanie i wtedy dopiero jego nauka nabierze siły, potęgi i świeżości młodzieńczej.

Słowa bez uczynków są martwe. Najpiękniejsze nauki, nie poparte wymową czynów—nie mają wartości.

Każdy człowiek na harmonię słów z czynami jest wrażliwy. Więzień pod tym względem, jak i pod każdym innym, jest przewrażliwiony. On odczuwa głęboko swe poniżenie, upodlenie, swą niedolę, przy równoczesnym poczuciu swej wartości. By więc znaleźć usprawiedliwienie dla siebie samego, szuka on w bliźnim swoim przede wszystkim ujemnych stron.

Oczywiście tym bardziej szukać ich będzie w kapelanie. I dlatego właśnie kapelan musi wystrzegać się usilnie, by nigdy, w żadnym wypadku nie dać więźniom choćby najmniejszego zgorszenia.

Nigdy nie można liczyć na to, że więzień nie dowie się o naszych uchybieniach. Z praktyki jest wiadomym i stwierdzonym faktem, że więzień o osobach, z którymi styka się, wie wszystko. Tym bardziej będzie się interesował i zbierał wiadomości o tym, który jest światłem postawionym na świeczniku.

Wtedy dopiero, gdy więzień nie będzie mógł dostrzec w swym kapelanie złych stron, gdy o nim nic złego nie usłyszy — wtedy nabierze on szacunku do swego Ojca duchownego i będzie go chętnie słuchać.

Wtedy kapelan, choćby i natrafił na pewne trudności, czy niepowodzenia, spełni jednak swoje najważniejsze zadanie: zaprowadzi powierzone mu dusze do Boga.

A to jest maksimum tego, co kapłan może i powinien zrobić.

Ks. Dr. J. K.

Prof. Dr. Benigno di Tullio w Warszawie.

Pod koniec ubiegłego miesiąca bawił w Polsce, we Lwowie i w Warszawie profesor Uniwersytetu Rzymskiego, Dr. Benigno di Tullio. Przybyły wygłosił w czasie swego pobytu w Polsce trzy odczyty, a mianowicie dwa we Lwowie i jeden w Warszawie. Zaznaczyć należy, że prof. di Tullio wykłada na Uniwersytecie Rzymskim antropologię i psychologię kryminalną oraz, że jest jednym z najwybitniejszych przedstawicieli współczesnej włoskiej szkoły antropologicznej, wywodzącej się bezpośrednio od Lombrosa. Szkoła ta wprawdzie daleko odbiegła od teorii urodzonego przestępcy i w najmniejszym nawet stopniu nie popiera tej tezy naukowej — natomiast w swych wywodach opiera się na problemie konstytucji przestępczej, któremu to zagadnieniu prof. di Tullio przed paru laty poświęcił obszerne dzieło. Należy zaznaczyć nad to, że przybycie naszego gościa miało na celu nawiązanie bezpośredniego kontaktu z reprezentantami polskiej myśli prawno-karnej i kryminologicznej. Prof. di Tullio bierze żywy udział w ruchu naukowym, będąc dobrze również znanym zagranicą z tytułu rozlicznych kongresów międzynarodowych, na których reprezentuje swój kraj. Będąc przedstawicielem Italskiego Związku dla Antropologii i Psychologii Kryminalnej, prof. di Tullio łącznie z wyżej wymienioną organizacją rzucił inicjatywę stworzenia międzynarodowej organizacji w dziedzinie profilaktyki przeciwprzestępczej, profilaktyki, ujętej ściśle naukowo i opartej na danych, dostarczonych przez antropologię, psychologię i biologię kryminalną. W tym celu właśnie przybyły szukał kontaktu z polskimi sferami kryminologicznymi, ażeby zapewnić przystąpienie Polski do tworzącej się organizacji międzynarodowej, która odbędzie swój pierwszy międzynarodowy kongres w Rzymie w maju 1937 r. W związku z akcją organizacyjną wyłoniony został już tymczasowy, prowizoryczny komitet porozumiewawczy, który zajął się przygotowaniem do wspomnianego Kongresu, a sekretarzem tego komitetu porozumiewawczego został właśnie prof. di Tullio.

Jak już wspomniano, gość nasz wygłosił w dniu 28 listopada w sali Italskiego Instytutu Kultury w Warszawie odczyt zatytułowany: «Profilaktyka przeciwprzestępcza i konieczność międzynarodowej jej organizacji». Na odczyt ten przybył Podsekretarz Stanu w Min. Spraw. p. Stefan Sieczkowski, Dyrektor Departamentu Karnego i Główny Inspektor Straży Więziennej p. Tadeusz Krychowski oraz szereg wyższych urzędników Ministerstwa Sprawiedliwości, prokuratorów i sędziów. We wspomnianym odczycie autor podkreślił całą wagę i znaczenie profilaktyki przeciwprzestępczej, która w sposób najskuteczniejszy i rzeczowo najwydajniejszy zwalcza przestępczość, a mianowicie jeszcze przed dokonaniem czynu przestępczego — a za tym jest jako dzieło społeczne właściwsza, aniżeli represja. Ponieważ profilaktyka przeciwprzestępcza ma zapobiegać przestępstwu jeszcze przed jego dokonaniem, dlatego za teren swej działalności winna wybierać te ośrodki społecznego współżycia, gdzie stosunkowo najłatwiej mogą powstać bodźce do przestępstwa kierujące. Doskonałym po temu terenem jest teren akcji przeciwalkoholowej, jak również teren zakładów wychowawczych i poprawczych, szkół dla dzieci zaniedbanych i upośledzonych, zakładów naukowych niższych i średnich w ogólności, tam bowiem również zdarzają się nieraz dzieci trudne do wychowania i kierowania, na które lekarz szkolny winien zwrócić baczną uwagę, przed tym jeszcze, nim dojdzie do poważniejszego złamania dyscypliny szkolnej lub społecznej. Wreszcie właściwą dziedziną dla tej akcji jest służba wojskowa, gromadząca znaczną część męskiej ludności w swych kadrach. Nakoniec najważniejszym centrum, skąd promieniować winna profilaktyka przeciwprzestępcza — są zakłady penitencjarne wszelkiego rodzaju. Głównym bowiem zadaniem jej jest ujęcie naukowo uzasadnionych i dowiedzionych możliwości przeciwdziałających przestępstwu, jako zjawisku społecznemu ze strony państwa i społeczeństwa. Odczyt prof. di Tullio będzie drukowany w całości w zeszycie 3 Przeglądu Więziennictwa Polskiego.

W rezultacie przeprowadzonych z p. Dyrektorem Departamentu Karnego rokowań i rozmów zostało ustalone, iż Polska przystępuje do nowotworzącej się organizacji, że weźmie udział w Rzymskim Kongresie i nadeśle odpowiednio opracowany referat. Jeśli chodzi o reprezentację Polski w tej dziedzinie i o organizacyjną stronę przystąpienia, to kraj nasz reprezentować będzie w łonie organizacji międzynarodowej Komisja do Badań Kryminalno-Biologicznych przy Ministerstwie Sprawiedliwości.

Prof. di Tullio, zwiedzając Polskę, zwrócił szczególną uwagę na organizację policji kobiecej u nas, z którą po raz pierwszy zetknął się we Lwowie, wyrażając przy tym swe uznanie, jako dla organizacji, która pierwsza i to w najdoskonalszej formie u nas się rozwinęła. Gość nasz złożył wizytę w Komendzie Głównej P.P. w Warszawie oraz zwiedził Szkołę zatrzymań przy ul. Krochmalnej, prowadzoną przez policję kobiecą.

Z zakładów penitencjarnych prof. di Tullio zwiedził Centralę badań psychologicznych nad nieletnimi przy Ministerstwie Sprawiedliwości, prowadzoną pod

kierownictwem prof. Baleya, Schronisko dla nieletnich w Warszawie przy ul. Przejazd 6, oraz odwiedził lokal Komisji do Badań Kryminalno-Biologicznych, gdzie wręczono Mu egzemplarz małego kwestionariusza badań w tłumaczeniu francuskim.

Ostatniego dnia pobytu w Warszawie prof. di Tullio zwiedził więzienie mokotowskie w Warszawie, wyrażając swe uznanie dla polskich urządzeń penitencjarnych.

W księdze osób, zwiedzających więzienie mokotowskie, wpisał następujące słowa:

«Jestem bardzo rad ze zwiedzenia tego pięknego więzienia. Jest ono prawdziwym wzorem, jeśli chodzi o porządek, dyscyplinę, czystość i urzędzenia hygieniczne w szerokim tego słowa znaczeniu oraz warsztaty pracy. Jest ono instytucją, która wykazuje, jak głęboko Polska odczuwa znaczenie moralne i społeczne ustroju i urządzeń penitencjarnych w dziedzinie współczesnej walki z przestępczością. Jestem głęboko przeświadczony, że młoda Wielka Polska znajdzie się szybko w rzędzie tych narodów, które będą przodować w świecie w tym dziele o wybitnym znaczeniu społecznym wielkiego humanitaryzmu i jego poważnej misji współczesnej». J. Ś.

SPRAWY SŁUŻBOWE.

Wizytacja więzień. W dniach 19—24 listopada b. r. Pan Dyrektor Departamentu Karnego i Główny Inspektor Straży Więziennej T. Krychowski wizytował Zakład Poprawczy w Szubinie i wychowawczy w Antoniewie, stanowiące własność Starostwa Krajowego w Poznaniu, w których Ministerstwo Sprawiedliwości umieszcza swoich wychowańców, skierowywanych tam przez Sądy, Zakład Psychiatryczny w Owińsku, przy którym organizowany jest Oddział obserwacyjno — rozdzielczy, Kolonię rolniczą w Mrowinie, gospodarstwo więzienne w Targowej Górce oraz więzienie izolacyjne we Wronkach.

* * *

W dniu 29 listopada b. r. jako w rocznicę Powstania Listopadowego Inspektor Straży Więziennej H. Wapniarski miał na ten temat interesujący odczyt w Szkole Straży Więziennej, ilustrowany przezroczami.

«Przegląd Więziennictwa Polskiego». Wobec licznych zapytań w sprawie nieotrzymywania «Przeglądu» przez niższych funkcjonariuszów Straży Więziennej, wyjaśniam, że «Przegląd Więziennictwa Polskiego» jest obecnie kwartalnikiem naukowym, przeznaczonym dla osób zajmujących się zagadnieniami penitencjarnymi ze stanowiska naukowego i dlatego wydawany jest w ograniczonej ilości egzemplarzy. Z tych też powodów niższym funkcjonariuszom Straży Więziennej kwartalnik rozsyłany nie jest. Mimo to Pan Dyrektor Departamentu Karnego i Główny Inspektor Straży, pragnąc udostępnić poznanie się z jego treścią i niższym funkcjonariuszom, a zwłaszcza tym spośrod nich, którzy, zaznajomiwszy się w Szkole Straży z zagadnieniami penitencjarnymi, pragną nadal swoje wiadomości uzupełniać i pogłębiać, polecił rozsyłać, specjalnie po 1 egz. «Przeglądu» do wszystkich więzień I II i III klasy z przeznaczeniem go wyłącznie do użytku niższych funkcjonariuszów Straży. Wobec powyższego wraz z drugim zeszytem «Przeglądu» który wyjdzie niebawem, zostanie przesłany równocześnie zeszyt pierwszy.

Poradnik służbowy. — Odpowiedzi Redakcji:

Aspirantowi S.W. J. R. z więzienia w Wieluniu: nie jest dopuszczalne, aby weksel wyższego funkcjonariusza S.W. na pożyczkę w Kasie Wzajemnej Pomocy Funkcjonariuszów Straży był żyrowany przez niższego funkcjonariusza. O żyro trzeba się postarać u kolegów oficerów z okolicznych sąsiednich więzień.

St. strażnikowi A. D. z więzienia w Pułtusku: strażnikowi z ukończoną szkołą zawodową przysługuje prawo noszenia zielono-białych wypustek na naramiennikach munduru i płaszcza, o ile ta szkoła zawodowa, którą ukończył, jest zaliczona przez Ministerstwo W. R. i O. P. do średnich zakładów naukowych.

Strażnikowi P. B. z więzienia w Wieluniu: Służba w P. O. W. i każda służba w Wojsku Polskim zalicza się do emerytury. Służba w P. O. W. i dwa lata służby wojskowej liczy się pojedyńczo; pozostała służba wojskowa do dnia 18.3.1921 (dzień zawarcia pokoju z Rosją) liczy się podwójnie. Dalsza służba wojskowa zalicza się pojedyńczo. Co do drugiego pańskiego pytania, to za każdy rok pełny służby państwowej, pełnionej po przerwie, zalicza się jeden rok służby, pełnionej przed przerwą. Czas spędzony przed przerwą zalicza się do wysługi emerytal. z mocy ustawy (z urzędu).

Strażnikowi E. Sz. z więzienia w Rzeszowie: Co do sprawy, poruszanej przez Pana, tyczącej się zabierania głosu przez niższych funkcjonariuszów Straży na łamach dwutygodnika, to stanowisko Redakcji w tej sprawie zostało jasno przedstawione w odpowiedzi strażnikowi J. R. z więzienia w Grudziądzu ul. Ks. Budkiewicza w Poradniku Służbowym w Nr. 4 «W służbie penitencjarnej» i nadal pozostaje identyczne. Niestety apel, zachęcający do pisania, nie znalazł oddźwięku i, o ile się nie mylę, tylko kolega st. str. A. Buresch z Kolonii Rolniczej przesłał artykuł, który Redakcja zakwalifikowała jako dobry i skwapliwie umieściła w Nr. 10 dwutygodnika. Ale na tym na razie i koniec. A tak być nie powinno.

Podobnie niech się i Pan zdobędzie na odwagę i prześle Redakcji nowelkę, felietonik lub artykuł, a rezultat może być doskonały.

Wiersz jeszcze stosunkowo słaby, ale pracy w tym kierunku nie należy poniechać.

Co do pierwszej sprawy, o którą Pan zapytuje, to znajdzie Pan odpowiedź na nią w niniejszym numerze na innym miejscu.

Z okazji nadchodzących Świąt Bożego Narodzenia Zarząd Kasy Wzajemnej Pomocy Funkcjonariuszów Straży Więziennej i Redakcja przesyła członkom Kasy i czytelnikom dwutygodnika «W służbie penitencjarnej» serdeczne życzenia.

Z WIĘZIEŃ I ZAKŁADÓW.

Egzamin nadzwyczajny w Szkole Powszechnej w więzieniu w Drohobyczu.

W dniu 19 listopada b. r. więzienie w Drohobyczu przeżywało niezwykłą, o dużym znaczeniu społecznym, uroczystość. Więźniowie, którzy w roku szkolnym 1935/36 ukończyli V-tą klasę, złożyli egzamin w zakresie nauk, objętych programem nauczania publicznej szkoły powszechnej siedmioklasowej i otrzymali odpowiednie świadectwa. Egzamin odbył się przed Państwową Komisją Egzaminacyjną, w skład której weszli Dr. Janusz Ignacy, Inspektor Szkolny z Sambora, jako przewodniczący i 6 nauczycieli szkół powszechnych z Drohobycza. Zarząd więzienia, w osobie Naczelnika więzienia Nadkomisarza S. W. A. Surmińskiego, asystujący przy egzaminach, w zrozumieniu doniosłości tych chwil szkolnictwa więziennego postanowił nadać im specjalnie uroczysty charakter.

Rano 19 listopada b. r. odbył się egzamin piśmienny, a po południu ustny, wieczorem zaś akademia, w czasie której więźniowie otrzymali świadectwa. Fakt do zanotowania tym więcej godny, że otrzymane przez więźniów świadectwa nie posiadają najmniejszego śladu piętna więziennego i są równoznaczne ze świadectwem ukończenia publicznej szkoły powszechnej siedmioklasowej. Akademię zagaił Inspektor Szkolny w prostych słowach, stwierdzając doskonałe wyniki egzaminów, obrazując jednocześnie trudy i starania Naczelnika więzienia A. Surmińskiego, dzięki którym odbył się egzamin na terenie więzienia przed Państwową Komisją. Po tym przemówieniu Naczelnik więzienia A. Surmiński podziękował Komisji Egzaminacyjnej i więziennemu gronu nauczycielskiemu za owocną, pełną życzliwości pracę, serdecznie życząc abiturientom, aby te świadectwa w ich życiu przyszłym były im pomocne w uzyskiwaniu lepszych warunków bytowania. Po wręczeniu świadectw przez Inspektora Szkolnego Dr. Janusza, więzień Sosnowski głosem pełnym wzruszenia podziękował wszystkim za włożone trudy i prace, nie ukrywając radości z otrzymania świadectw, których znaczenie doskonale wszyscy więźniowie rozumieją. Następnie orkiestra, chór i deklamatorzy-więźniowie dopełnili programu tego święta naprawdę niezwykłego, niecodziennego.

Jeżeli zważymy, że więźniowie, kończący szkołę powszechną, cały jej kurs przebyli w ciągu 5 lat, że osiągnęli wyniki nadspodziewanie dobre, pomimo wielkich wymagań Komisji, gdyż na 15 więźniów, zgłoszonych do egzaminu, 7-miu zdało z wynikiem bardzo dobrym, 7-miu z dobrym i 1 z dostatecznym, otrzymamy wybitnie dodatni rezultat pracy kulturalno-oświatowej w więzieniu w Drohobyczu, wykazujący dążenie i kierunek Władz polskiego więziennictwa w tej tak bardzo ważnej dziedzinie.

Niezmordowany w tej pracy Naczelnik więzienia A. Surmiński podjął starania, aby szkoła powszechna w więzieniu w Drohobyczu otrzymała prawa publiczne szkół powszechnych osiągnięcię czego będzie nowym sukcesem, podkreślającym humanitarność metod władz polskich w stosunku do powierzonych ich opiece więźniów.

Uroczystość szkolna w więzieniu w Drohobyczu, manifestacja więźniów w czasie akademii na cześć władz więziennych za udostępnienie im nauki w tak szerokim zakresie, to wielki dorobek społeczny, to piękna karta na polu oświaty szkolnej w polskim więziennictwie.

Więzienie w Grudziądzu, ul. Wybickiego.

Tegoroczne Święto Niepodległości oraz uroczystość wręczenia buławy marszałkowskiej Naczelnemu Wodzowi E. Śmigłemu-Rydzowi obchodzone były we wszystkich więzieniach Rzeczypospolitej niezwykle okazale.

Na specjalne wyróżnienie zasługują akademie, urządzone przez więzienia: w Drohobyczu, Piotrkowie, Złoczowie, Grudziądzu, ul.Wybickiego, Katowicach oraz w Zakładzie dla niepoprawnych więźniów w Lublińcu, w których doborowy program odpowiednio wykonany wytworzył wśród słuchaczy podniosły nastrój, odpowiadający powadze chwili.

Z powodu braku miejsca reprodukujemy z licznie nadesłanych fotografij z akademij i dekoracyj więzienia tylko dwie: a) dekorację sceny z wartą honorową w osobach ułana, czwartaka, kosyniera i strzelca z więzienia w Drohobyczu, b) dekorację bramy więziennej więzienia w Grudziądzu, ul. Wybickiego.

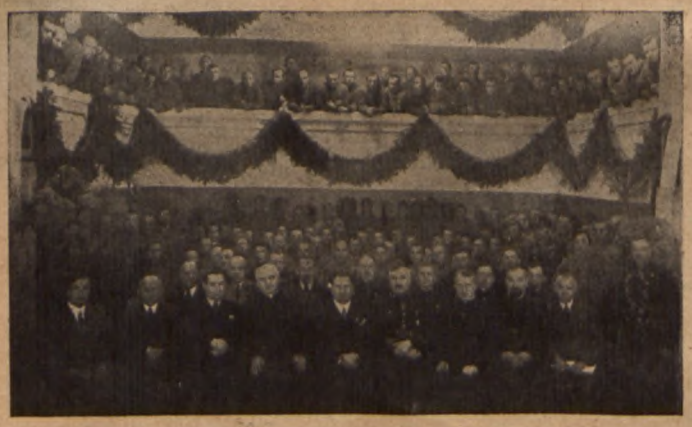

Komisja egzaminacyjna w otoczeniu absolwentów.

Dekoracja sceny w więzieniu w Drohobyczu.

Z działalności Kasy Wzajemnej Pomocy Funkc. Straży Więziennej.

Protokół Nr. 161 z dn. 22 października 1936 r.

Obecny cały Zarząd.

I. Odczytano i przyjęto protokół posiedzenia z dnia 15 października r. b.

II. Wobec zwolnienia lub wydalenia ze służby w Korpusie Straży Więziennej, Zarząd Kasy, na podstawie art. art. 11 i 43 punkt c Statutu, postanowił skreślić z listy członków: 1) Petrykowskiego Ludwika str. z więz. w Dubnie z dn. 10-IX-36r., 2) Sobczyńskiego Kazimierza str. z więz. w Tarnowie z dn. 30-IX-36 r., 3) Dytrego Tadeusza str z więz. w W-wie ul. Dzielna z dn. 16-X-36 r.

III. Zarząd Kasy, na podstawie art. 17 ustęp ostatni Statutu, postanowił wkłady oszczędnościowe zwolnionych ze służby b. członków Kasy zarachować na częściowe pokrycie zaciągniętych, a nie spłaconych przez nich w Kasie pożyczek 1) Dytrego Tadeusza z więz. w W-wie ul. Dzielna w sumie 46 zł. 65 groszy, 2) Petrykowskiego Ludwika z więz. w Dubnie w sumie 33 zł 86 groszy.

IV. Zarząd Kasy rozpatrzył podanie i przyznał na podstawie art. 16 Statutu zapomogę Pałce Tomaszowi st. str. z więz. w Rzeszowie jako zwrot kosztów pogrzebu syna w sumie 211 zł. 50 groszy.

V. Zarząd Kasy udzielił 2 członkom pożyczek na ogólną sumę 620 złotych.

Komunikat Nr. 48.

W czasie od 1 października do 10 grudnia 1936 r. zmarli następujący członkowie Kasy:

1. **Wójcik Józef,** strażnik więzienny z więzienia w Poznaniu;
2. **Jagielski Władysław,** podkomisarz Straży Więziennej więzienia we Lwowie;
3. **Groch Franciszek,** strażnik więzienny z więzienia w Brzeżanach;
4. **Kaczmarczyk Józef,** przodownik Straży Więziennej z więzienia w Wiśniczu;
5. **Stanisławski Władysław,** st. strażnik więzienny z więzienia w Łodzi;
6. **Waliczek Karol,** strażnik więzienny z więzienia w Baranowiczach;
7. **Gałaj Stanisław,** strażnik więzienny z więzienia we Wrześni;
8. **Kłujszówna Halina,** strażnik więzienny z więzienia w Wejherowie;
9. **Surowiński Jan,** emerytowany st. strażnik więzienny z więzienia w Warszawie;
10. **Truszkowski Władysław,** strażnik więzienny z więzienia w Piotrkowie;
11. **Ignaczak Piotr,** emerytowany st. strażnik więzienny z więzienia w Warszawie;
12. **Sułek Michał,** st. strażnik więzienny z więzienia w Wiśniczu.

Spadkobiercom zmarłych członków Zarząd Kasy wypłacił:

po ś. p.	Wójciku	2425 zł. 20 gr.
po ś. p.	Jagielskim	2424 zł. 60 gr.
po ś. p.	Grochu	2431 zł. 80 gr.
po ś. p.	Kaczmarczyku	2425 zł. 80 gr.
po ś. p.	Stanisławskim	2431 zł. 80 gr.
po ś. p.	Waliczku	2431 zł. 20 gr.
po ś. p.	Gałaju	2428 zł. 80 gr.
po ś. p.	Kłujszównie	2428 zł. 20 gr.
po ś. p.	Surowińskim	2427 zł. 60 gr.
po ś. p.	Truszkowskim	2424 zł. 60 gr.
po ś. p.	Ignaczaku	2425 zł. 20 gr. *)
po ś. p.	Sułku	2424 zł. —
	RAZEM .	29128 zł. 80 gr.

*) Zapomoga pośmiertna jeszcze nie podjęta.

W POLSCE i ZA GRANICĄ:

× W Kraju i za granicą, wśród Polaków tam zamieszkałych, odbyły się 29 listopada uroczystości związane z uczczeniem rocznicy Powstania Listopadowego 1830 roku. Dzień ten, to dzień Święta Szkoły Podchorążych, którzy przed przeszło 100 laty pierwsi stanęli do powstania. Przed Pałacem Belwederskim wygłosił przemówienie do oddziału Podchorążych płk. Borkiewicz, który przypomniał im, jak przez pamięć na bohaterstwo i przelaną krew, Marszałek Piłsudski rozkazał, aby wartę przed Belwederem, gdzie wybuchło powstanie, trzymali zawsze Podchorążowie. «Dziś rzekł płk. Borkiewicz - Wódz nie zamieszkuje już cichego Pałacu Belwederskiego, ale mieszka w nim Wielkość, Sława i Honor całej Armii Polskiej, całego Narodu, których symbolem najpiękniejszym, najdoskonalszym był Józef Piłsudski. Dziś — w 106 rocznicę czynu Listopadowego z Jego rozkazu zaciągacie na tym miejscu wartę».

Powstanie Listopadowe upadło, bo Polska nie miała wówczas Wodza, jednak garstka zapaleńców, która ruszyła do boju przeciwko niewspółmiernie wielkiej przewadze nieprzyjacielskiej uratowała honor Polaków, którzy zrywając się kilkakrotnie do zrzucenia pęt niewoli, dali dowód, że są wielkim, wolnym narodem, tylko przez brutalną siłę chwilowo pokonanym. Powstania, choć kończyły się klęską, przygotowały drogę do Zmartwychwstania Polski.

* * *

W Polsce bawił przez parę dni rumuński Minister Spraw Zagranicznych Antonescu, jako gość Rządu Polskiego. Rumunia i Polska złączone są prawdziwym i stałym sojuszem, opartym na najbardziej istotnych podstawach, a mianowicie na wspólnych celach, których nie zamąca żadna rywalizacja interesów. Marszałek Piłsudski był wielkim przyjacielem Rumunów i On to wytknął drogę do zacieśniania się wzajemnych więzów przyjaźni podczas swego kilkakrotnego pobytu w Rumunii. Pierwszym miastem polskim, w którym zatrzymał się Minister Antonescu był Kraków, gdzie w Krypcie św. Leonarda przedstawiciele zaprzyjaźnionego kraju złożyli hołd pamięci Wielkiego Marszałka. W Warszawie Minister Antonescu odbył szereg rozmów o charakterze politycznym z polskim Ministrem Spraw Zagranicznych p. Józefem Beckiem, w których to rozmowach podkreślono z całym naciskiem korzyści płynące dla obu krajów ze wspólnej polityki międzynarodowej i zacieśnionego sojuszu.

* * *

× Rozruchy na wyższych zakładach naukowych w całej Polsce były tego roku tak silne, że nie sposób ich pominąć milczeniem. Jeśli chodzi o powody tych niepokojów, to zupełnie wyraźne ich stwierdzenie jest o tyle trudne, że za każdym razem podawano inne. Zasadniczymi przyczynami, przewijającymi się wśród wszystkich wydarzeń była sprawa żydowska oraz sprawa opłat. Niestety, mowa p. ministra oświaty, wygłoszona przed otwarciem roku akademickiego, stwierdzająca zniżkę opłat i udzielanie ulg i pomocy prawie we wszystkich wypadkach oraz wzywająca młodzież do zaprzestania ekscesów i spokojnego zajęcia się nauką, nie znalazła należytego zrozumienia. «Blokada» uniwersytetów w Wilnie oraz w Warszawie jest tego dowodem. Jako objaw tłumaczący gwałtowność wystąpień młodzieży przytoczyć należy fakt, że wśród zatrzymanych i aresztowanych za szerzenie rozruchów, ewen-

tualnie za uczestniczenie w blokadzie, znalazło się spora liczba osób, którzy ze studiami uniwersyteckimi nie mają nic wspólnego. Byli tam ludzie różnych zawodów lub bezrobotni, którzy widocznie z powodu nadmiaru wolnego czasu lub chęci «łowienia ryb w mętnej wodzie», brali udział we wszystkich wystąpieniach. Na skutek rozruchów uczelnie były przez dłuższy czas zamknięte.

* * *

× Wśród niezliczonej ilości ofiar, napływających w różnych formach na rzecz Funduszu Pomocy Zimowej, podkreślić należy ze specjalnym uznaniem ofiarę górników. Ofiarowali oni bowiem, w liczbie 38 tysięcy, całodzienną bezinterosowną pracę, aby wydobyty w tym dniu węgiel móc rozdać wśród bezrobotnych. Wydobyte 96.000 ton węgla oddane zostało do dyspozycji Ogólnopolskiego Komitetu Pomocy Zimowej. Dla zaznaczenia, że nie jest to ciężka ofiara, lecz ochotne przyjście z pomocą biedniejszym, górnicy przybrali tego dnia sztolnie i szyby kopalń flagami narodowymi i girlandami zieleni, ażeby praca odbyła się w radosnym nastroju.

* * *

× Innym przykładem przyczynienia się choć w części do zwiększenia funduszów na obronę narodową jest postępek dzieci 1-klasowej Szkoły w Dąbrówce Zgniłej pow. Sieradzkiego. Otóż dzieci te przez miesiąc zbierały kamienie polne, aby je potem sprzedać kierownictwu budowy szosy miejscowej i uzyskaną w ten sposób sumę zł. 15.50 wpłacić na fundusz Obrony Narodowej. W ten sposób dzieci poparły trzy piękne cele, a mianowicie spełniły swój obowiązek wobec armii, dopomogły do budowy szosy wiejskiej i oczyściły rolnikom pola z kamieni. Należy przyklasnąć takim pomysłom.

* * *

× Co pewien czas donosimy o faktach świadczących o rozbudowie polskiej marynarki wojennej. Przed kilkoma dniami w porcie francuskim Hawrze odbyło się spuszczenie na wodę nowego polskiego okrętu wojennego p. n. «Gryf». Jest to drugi okręt wojenny, wykonany w tejże stoczni, która poprzednio zbudowała polską łódź podwodną «Wilk». Na tradycyjną uroczystość «chrztu» okrętu przybyły tłumy publiczności francuskiej a nade wszystko kolonia polska.

Rosnące potrzeby polskiej marynarki wojennej zmuszają do zrealizowania projektów powstania w Polsce stoczni o takich rozmiarach, któreby pozwoliły na wykonywanie wszelkiego rodzaju morskiego sprzętu wojennego. W Gdyni istnieje obecnie stocznia, która w ostatnich czasach została ogromnie rozszerzona, nie wystarcza ona jednak jeszcze na całkowite zaspokojenie potrzeb państwowych. Trzeba się liczyć z ogromnymi kosztami, jakie pociąga za sobą całkowite urządzenie nowoczesnej, wielkiej stoczni.

* * *

× W uzupełnieniu podawanej kilkakrotnie wiadomości o decyzji Międzynarodowej Federacji Jeździeckiej, która po przyznaniu Polsce srebrnego medalu podczas tegorocznej Olimpiady berlińskiej, odebrała ten medal z powodu rzekomych niedokładności przy osądzaniu wyników, prasa donosi, że w ostatecznej decyzji odznaka ta została Polsce przyznana, a tym samym zarzut niesłuszności w nagrodzeniu polskiej ekipy został uchylony.

* * *

× Wszystkie sensacje międzynarodowe przyćmione zostały w ostatnich kilku dniach wydarzeniami angielskimi. Zupełnie nieoczekiwanie — przynajmniej dla ogromnej większości czytelników — ukazały się wiadomości, że król angielski Edward VIII zamierza wstąpić w związki małżeńskie z amerykanką p. Simpson. Wieść ta nietylko wzburzyła opinię angielską, ale stała się powodem do niespotykanego w dziejach Wielkiej Brytanii kryzysu konstytucyjnego. Trzeba bowiem wiedzieć, że w obecnym ustroju angielskim król, stojąc ponad wszystkimi partiami, kieruje się zawsze we wszystkich sprawach politycznych i nawet osobistych, wskazówkami swego rządu. Jeśli wskazówek tych słuchać i nimi kierować się nie chce, pozostaje mu do wyboru, albo zmienić rząd, albo abdykować, czyli zrzec się tronu. Trzeba sobie również uświadomić, jakim uczuciem i najwyższym szacunkiem otaczana jest w społeczeństwie angielskim rodzina królewska, która — zwłaszcza jak to miało miejsce za panowania zmarłego Króla Jerzego — była dla konserwatywnych obywateli Wielkiej Brytanii uosobieniem wszelkich cnót i harmonii rodzinnej. Zawarcie małżeństwa z osobą, niepochodzącą z rodu panującego, w dodatku z kobietą, która już dwukrotnie rozchodziła się ze swymi mężami, godziłoby w ustaloną od wieków powagę i majestat korony królewskiej. Z drugiej strony opinia społeczna uczuciem jest po stronie Króla, któremu przyznaje prawa, przysługujące wszystkim śmiertelnikom w wyborze towarzyszki życia, tym bardziej, że obecny król jest niesłychanie popularny w całym kraju dzięki swemu szczeremu demokratyzmowi i niechęci do skamieniałych, sztywnych form. Najbliższe dni mają przynieść rozwiązanie tej sprawy, która poza stroną uczuciową i osobistą kryje w sobie niebezpieczeństwo poważnych komplikacyj politycznych w największym państwie świata.

* * *

× Trudno traktować obecne wypadki w Hiszpanii za objawy wojny domowej. Obecnie mówić można już o ścieraniu się Niemiec przy pomocy Włoch—z Rosją Sowiecką. Ogromne poruszenie wywołało w całym świecie przybycie 6.000 żołnierzy niemieckich do jednego z portów hiszpańskich, celem niesienia pomocy wojskom powstańczym. Rząd niemiecki zaprzecza tej wiadomości, twierdząc, że był to oddział złożony jedynie z 2 tysięcy ludzi i rekrutujący się z samych ochotników, na co rząd wpływu nie ma. Tym niemniej zupełnie wyraźne popieranie jednej lub drugiej strony hiszpańskiej przez państwa obce może grozić następstwami, mogącymi się łatwo przerodzić w akty wojenne. Tak zwany «Komitet nieinterwencji», w skład którego wchodzą przedstawiciele wielu państw, próbuje zapobiec niebezpiecznym komplikacjom.

W samej Hiszpanii szala zwycięstwa nie przechyla się jeszcze ani na jedną, ani na drugą stronę. Fakt obrony stolicy przez wojska rządowe przez miesiąc dowodzi, że wojska powstańcze nie posiadają dostatecznej siły do całkowitego opanowania kraju. Można sobie wyobrazić wygląd Madrytu, który systematycznie jest bombardowany i ostrzeliwany z zaciekłością, która każe przypuszczać, że dopuszczają się tego nie sami Hiszpanie, lecz cudzoziemcy, którym nie zależy na oszczędzeniu miasta. W stolicy zdobywany jest dosłownie dom po domu, co kosztuje tysiące ofiar, zarówno wśród wojska, jak i wśród umęczonej ludności cywilnej.

Sprawa hiszpańska może się stać również powodem do zmiany rządu francuskiego, gdyż komuniści występują przeciwko rządowi o nieprzychodzenie z pomocą czerwonym wojskom w Hiszpanii.

* * *

× Jak już donosiliśmy, Niemcy zawarli z Japonią układ, mający na celu zwalczanie komunizmu. Układ ten głosi, że strony postanawiają udzielać sobie wzajemnych informacyj o działalności międzynarodówki komunistycznej i przeprowadzać konieczne zarządzenia dla jej zwalczania. Oba państwa zobowiązały się również surowo karać tych wszystkich, którzy pozostają na służbie komunistycznej. Aczkolwiek zarówno Niemcy, jak Japonia głoszą, że nie zawarto żadnych tajnych porozumień, które by nie były ogłoszone w układzie, to jednak opinia ogólna domyśla się, że poza oficjalnym tekstem kryją się jeszcze bardziej istotne zobowiązania japońsko-niemieckie. Takie przekonanie panuje w Anglii i we Francji, która z powodu sympatii, łączących jej rządy z ustrojem sowieckim, zapatruje się na zawarty układ nieprzychylnie. Jest rzeczą niewątpliwą, że Niemcy nie cofną się przed żadnym środkiem, prowadzącym do osłabienia komunizmu w Europie i wszelkimi siłami starają się go zwalczać. Cała prasa zagraniczna przyjęła ten pakt dość nieżyczliwie, ze względu na to, że prawdziwy ogólny pokój światowy może być utrzymany jedynie przy współpracy wielkiej ilości państw, zorganizowanych obecnie w Lidze Narodów; zawieranie układów i ścisłych porozumień pomiędzy poszczególnymi państwami przyczynia się do powstawania niejasnych wiadomości i braku zaufania.

Janusz Meissner. *NOWELA.*

POLOWANIE WIGILIJNE.

Największym optymistą wśród myśliwych, jakich kiedykolwiek znałem, był kapitan w stanie spoczynku Ossejuk. To wcale nie znaczy, żeby łgał bezczelniej i nieprawdopodobniej niż inni słudzy świętego Huberta. Przeciwnie: jeśli chodzi o ilość ubitej przez niego zwierzyny i o jakość strzałów, Ossejuk

(Mikołaj mu było) mijał się z prawdą najwyżej o 100% na swoją korzyść; miał zatem raczej opinię człowieka wiarygodnego. Natomiast ilekroć zapraszał na polowanie do siebie, zawsze obiecywał gościom całe mrowie zwierzyny i w tym wypadku przesadzał conajmniej dwudziestokrotnie, bo na tych dwuch tysiącach morgów terenu łowieckiego, który od wielu lat dzierżawił, prawdę mówiąc, nie było do czego strzelać.

Przyczyna braku zwierzyny nie stanowiła dla znajomych Mikołaja żadnej tajemnicy. Ossejuk polował sam niezmordowanie i w ciągu pierwszego roku dzierżawy wytępił niemal wszystko, co biegało i skakało na czterech łapach, oraz wszystko co pływało i brodziło po bagienkach, lub latało w powietrzu.

W latach następnych karmił siebie samego i swoich gości optymizmem, powstałym w tym pierwszym okresie. Coraz większe zawody, które przynosiły rozkłady późniejszych polowań, rozczarowały tylko gości. Mikołaj wierzył nadal, że jego teren jest znakomity i że tylko «tym razem pech, prosz pana, czy co.»

— Tęren, ach jaki tęren — mówił ze szczerym zachwytem i bardzo przez nos. (Z zachwytem — bo, jak wyżej powiedziałem, był niepoprawnym optymistą; przez nos — bo w jakimś dziwnym wypadku lotniczym stracił podniebienie). — Dziki stadami chądzą prosz pana. Jak Bąga kącham — stadami!

Sam przypominał trochę dzika. Był tęgi i przysadzisty, miał sterczące na wszystkie strony, mocno już szpakowate włosy i rudawą, rzadko goloną szczecinę na czerwonej twarzy o kałmuckim typie. Nos miał krótki, spłaszczony, wystające kości policzkowe i małe oczka pod ogromnymi kępami brwi, wyrastającymi pośrodku podstawy niskiego czoła. Ruszał się ociężale i pochrząkiwał zupełnie jak dzik.

Pochodził, zdaje się, z Syberii i mówił charakterystycznym rosyjskim akcentem.

Strzelbę miał starą i bardzo zardzewiałą. Nazywał ją po swojemu «duło». Nigdy nie czyścił owego «duła», twierdząc z uporem, że strzał z brudnych luf jest «mocniejszy». Miał również psa, o którym utrzymywał, że to rasowy gryfon. Mojem zdaniem taki był z tego kundla gryfon, jak z Ossejuka — hurysa: pysk miał wilczy, sterczące uszy, kudłatą szerść nieokreślonego koloru i długi ogon. Wody bał się panicznie, kuropatwy płoszył, na zające zaś szczekał głośno i zajadle. Nazywał się Trop, co w interpretacji jego pana brzmiało — Trąp.

Mikołaj polował zawsze z tym psem, ale pies równie często polował bez Mikołaja, na własną rękę, lub raczej — na własną łapę.

Gdy byli razem w polu, z daleka można było słyszeć, jak myśliwy razpaczliwie woła co chwila: — Trąp! Trąp! Trąp, do nągi! — po czym sprawia systematyczne lanie swemu czworonożnemu pomocnikowi za jedno z jego licznych przewinień, o ile nota bene Trop wreszcie usłuchał wezwania.

— Nie rązumiem, cą się jęmu stało — mówił Ossejuk, jeśli ktoś asystował przy tych pedagogicznych zabiegach. — Taki świętny pięs, a dziś spłąszył. Pęch, czy co?..

Bardzo dawno nie widziałem Mikołaja Ossejuka i nasze stosunki od paru lat uległy rozluźnieniu. Ale w tym roku, na krótko przed wilią, zupełnie niespodziewanie otrzymałem od niego list z zaproszeniem na polowanie wigilijne. Polowanie «na zające, lisy, dziki, wilki i cietrzewie», jak optymistycznie zapewniał.

Polowanie w wigilję Bożego Narodzenia ma swój specjalny urok, którego nie zrozumieją zwykli śmiertelnicy i który znają doskonale myśliwi. Dla obu tych powodów nie będę się starał wytłumaczyć, ani na czym ten urok polega, ani też — dlaczego odwołanie bardzo miłego polowania u hr. W., który uprzednio mnie zaprosił, wprawiło mnie w niesłychanie melancholijny nastrój, trwający aż do czasu nadejścia listu Ossejuka.

Miałem skompletowane naboje, przygotowaną strzelbę i perspektywę spędzenia przedpołudnia w lesie, obfitującym w zwierzynę, Tymczasem hrabia W. musiał gdzieś wyjechać i jego depesza przekreśliła nagle ten program. Byłem naładowany animuszem łowieckim, jak kondensator elektrycznością i zły z powodu nagłego uziemienia tej energji.

Wtedy przyszedł list od Ossejuka. Ossejuk miewał zacne starki i nalewki w swojej sadybie, którą pobudował na zakupionym kawałku ziemi w kieleckiem, więc — choć przewidywałem, że niewiele tam będzie strzelania — zdecydowałem się jednak pojechać. Zastrzegłem sobie tylko, że Trop zostanie zamknięty i uwiązany w domu i na polowanie nie pójdzie. Musiałem, poprostu m u s i a ł e m odetchnąć atmosferą lasu i polowania. Myśliwi zrozumieją mnie chyba...

Wraz ze mną i Ossejukiem było siedem strzelb. Naganki — dziesięciu. Starki i nalewki — butelek pięć. Zapowiadało się więc nienajgorzej.

Ossejuk przysięgał się, że padnie osiemdziesiąt zajęcy, kilka lisów, napewno jeden dzik (był jakoby otropiony), może — przechodni wilk i z dziesięć cietrzewi.

Ruszyliśmy do lasu brać pierwszy miot z owym dzikiem.

Stałem na klamrze, mając za sąsiada z lewej strony jakiegoś radcę z Krakowa. Radca miał katar, co chwila wycierał nos, pokaszliwał i wzdychał, więc nie liczyłem ani na lisa, ani na dzika. Co się tyczy wilków i cietrzewi, nie miałem żadnych złudzeń.

Pogoda była piękna: pruszył drobny śnieżek i trzymał lekki mróz. Sosny i świerki trwały nieruchomo w ciszy. Czasem tylko zaszeleścił delikatny powiew wiatru wśród nieopadłych szaro - bronzowych liści młodych dębczaków na skraju lasu i strącił z nich białą okiść. Zresztą cały świat nasiąknięty był ciszą i spokojem.

Wypaliłem papierosa, nabiłem strzelbę i czekałem, patrząc wgłąb kolumnady drzew. Za mną rosły krzaki głogu. Przyleciało do nich stadko jemiołuszek i siadło w milczeniu na gałązkach. Po chwili ptaszki zaczęły ćwierkać, nie zwracając na mnie uwagi. Potem przeleciała wrona, spostrzegła mnie w ostatniej chwili i skręciła wbok, wiosłując szybko skrzydłami.

Potem usłyszałem, jak Ossejuk trąbi na lufach swego «duła» i jak zdaleka rusza naganka. Cisza, przeszyta terkotaniem kołatek, pogwizdywaniem i hukaniem naganiaczy, zafalowała echem, zadrgała i pierzchła. Radca znów wycierał nos długo i hałaśliwie. Wiatr, przestraszony gwarem, pętał się między krzakami i szeptał coś zaniepokojony zeschłym liściom. Tylko sosny milczały nadal, patrząc z góry na to zamieszanie.

Wtem, daleko na lewem skrzydle, huknęły dwa strzały, jeden tuż po drugim.

Ucieszyłem się: jest zwierzyna.

Głosy naganki zbliżały się. Między pniami drzew mignął mi barani kożuch jednego z wyrostków. Potem zobaczyłem drugiego z kijem w ręku. Dochodzili już do linii myśliwych.

— Do czego tam strzelali? — zapytałem chłopca w kożuchu.

— Pewnie do zająca — odrzekł mrukliwie.

— A nie do dzika?

— Tu dzików niema — huknął.

— Kapitan mówił, że w tym miocie będzie jeden. Miał być otropiony — powiedziałem.

Roześmiał się zgryźliwie.

— Pan kapitan, jak świniaka we wsi zobaczy, to zara mówi, że dziki muszą być. Pewnie wieprza ktoś gnał drogą i ślady były. Niema tu dzików i z dawna nie było. W Paszkówce, w rządowym to są. Ale tu... — machnął ręką. — Tu i zajęcy mało — dodał.

Okazało się, że padł zając. Zabił go Mikołaj.

— Gdzię ten dzik? — dziwował się potem, gdyśmy zmieniali stanowiska. — Był napęwną, tylko pąszedł. Sam otrąpiłem, jak Bąga kącham. Alo ąn będzie w następnym miącie, ząbaczy pan.

Lecz w następnym miocie nie było nic. W trzecim też nic. W czwartym mój zakatarzony radca palnął do wrony i spudłował haniebnie. Zato w piątym był lis i zając. Niesłychane! Tylko, że...

Tylko, że — stałem tym razem obok Ossejuka.

Zobaczyłem lisa, jak przemykał się ku mnie od strony naganki, która właśnie ruszyła. Radca wycierał nos gdzieś bardzo daleko, więc miałem nadzieję, że ryży dojdzie w moją stronę na odległość strzału. Schowałem się za mały świerk i czekałem.

Wtem usłyszałem z prawej strony jękliwy szept Mikołaja. Szept, który mógłby odstraszyć nosorożca nietylko lisa:

— Panie sąsiedzie, za panem szarak!

Obejrzałem się. Istotnie o kilkanaście kroków za mną kicał zając.

— Szarak! — powtórzył głośniej Ossejuk.

— Niech cię djabli wezmą — pomyślałem, napróżno starając się gestami dać do zrozumienia uprzejmemu gospodarzowi, że nie interesują mnie w tej chwili zające, choćby ich było nawet tuzin.

— Panie, sza—rak! — szeptał Mikołaj.

— Lis — powiedziałem samym ruchem warg, wskazując palcem w las.

Ossejuk zrozumiał, że mam przed sobą innego zwierza, ale zamiast stać spokojnie, zaczął się rozglądać i wychylać ze swego stanowiska, aby zobaczyć, co to takiego.

A lis, jak lis: usłyszał, zawrócił i poszedł w tył, między nagankę. To samo, tylko w przeciwną stronę, zrobił zając.

— Częgą pan nie strzęlał? — dopytywał się potem Mikołaj.

Powiedziałem mu, że miałem ochotę strzelać, ale do niego, nie do lisa, bo lis był za daleko.

— I jeżeli nie strzelałem, to tylko dlaiego, żeś się pan wiercił, jakby pana mrówki oblazły; bałem się, że spudłuję — dodałem ze złością.

Aby mnie udobruchać, wyciągnął z sań nalewkę i zrobiliśmy przerwę.

Nie ma co gadać, nalewka była przednia. Starka też. Do tego stopnia, że zrobiło się szaro, gdyśmy skończyli przekąskę, aby wziąć ostatni miot. Może gdyby nie ta starka, dwaj spośród nas nie okryliby się śmiesznością na tym nieszczęsnym polowaniu...

Ci dwaj, to Mikołaj Ossejuk i ja. Tak. Ale trudno: wypiję wobec Was, Czytelnicy, do dna kielich goryczy — opowiem, jak to się stało.

A więc — było szaro. Śnieg zaczął padać gęściej i chmury zgasiły dzień jeszcze przed wieczorem. Właściwie należało jechać do domu, jeśli miałem zdążyć na wilję. Ale na rozkładzie był tylko jeden zając i to nie mój. Chciałem przynajmniej strzelić do czegokolwiek, a Mikołaj przysięgał na swoje «duło», że ostatni miot jest najpewniejszy.

Zostałem.

Teraz miałem na lewo pana S., bardzo dobrego myśliwego, na prawo zaś — Ossejuka. Przed nami był młody, graniczący z państwowym lasem zagajnik, który wyglądał istotnie obiecująco.

— Gdybym był lisem — pomyślałem, — tu siedziałbym teraz.

Naganka ruszyła. Gdy doszła do połowy miotu, zobaczyłem, że Ossejuk składa się i usłyszałem dwa strzały jego dwunastki, poczem — skowyt ranionego zwierza.

— Pilnuj! — wrzasnął Mikołaj ku mnie. — Pilnuj: wilk!

Aż mną zatrzęsło. Nie ze śmiechu, nie:—z emocji. Bo oto w tej samej chwili mignęło mi w gąszczu dwoje rozżarzonych ślepiów, usłyszałem cwał wielkich łap i zobaczyłem płowe, ogromne ciało wilka.

Rzuciłem strzelbę do ramienia i pociągnąłem spust w momencie, gdy zwierz jednym susem przesadzał otwartą przestrzeń nawprost mego stanowiska.

Huknął strzał. Wilk zrulował przez łeb o jakieś trzydzieści kroków przede mną.

Ossejuk walił tymczasem ku mnie, jak dzik, przez krzaki i świerki, wołając, że niepotrzebnie strzelałem, bo wilk dostał od niego loftkami i już zdychał.

Oburzyło mnie to. Nie spierałbym się o zająca, ale o wilka?!

— Wilk jest mój — oświadczyłem kategorycznie. — Krzyczałeś pan sam «pilnuj». Upilnowałem. Pan go tylko ranił. Szedł, jak piorun i poszedłby jeszcze z dziesięć kilometrów, gdybym go puścił. Zresztą mój strzał był ostatni. Dopiero po nim zrulował.

Ale Mikołaj był tak rozgorączkowany, że nie słuchał nawet mojego dowodzenia.

— Ja go zabiłem — powtarzał. — Gdzię ąn jęst, gdzię ąn jęst? Dąstał ląftkami...

— To jest mój wilk — podniosłem głos, wyprzedzając Ossejuka. — Leży tu, o parę kroków przed moim stanowiskiem.

Szukaliśmy obaj między świerkami. Tymczasem naganka doszła do linii i wieść o zabiciu wilka zelektryzowała wszystkich. Przydreptał również radca, który teraz nareszcie przydał się na coś, bo miał ze sobą latarkę elektryczną. Mikołaj zabrał mu ją bez ceremonii i przeglądaliśmy teren przy jej świetle.

Wtem jeden z naganiaczy krzyknął:

— Jest, panie kapitanie! Jest!

Czas. 15061/1/16

Podbiegliśmy do niego pędem i Ossejuk oświetlił najpierw skrwawiony śnieg dokoła, następnie zaś — zabitego Tropa z kawałem urwanego powroza na szyi.

Zdrętwiałem. Ale jeszcze bardziej zdrętwiał Mikołaj i ja pierwszy przyszedłem do siebie, akurat na czas, aby uprzedzić wybuch śmiechu pozostałych myśliwych.

— To chyba rzeczywiście pański wilk — powiedziałem. — Rezygnuję ze skóry.

Humor i rozrywki umysłowe.

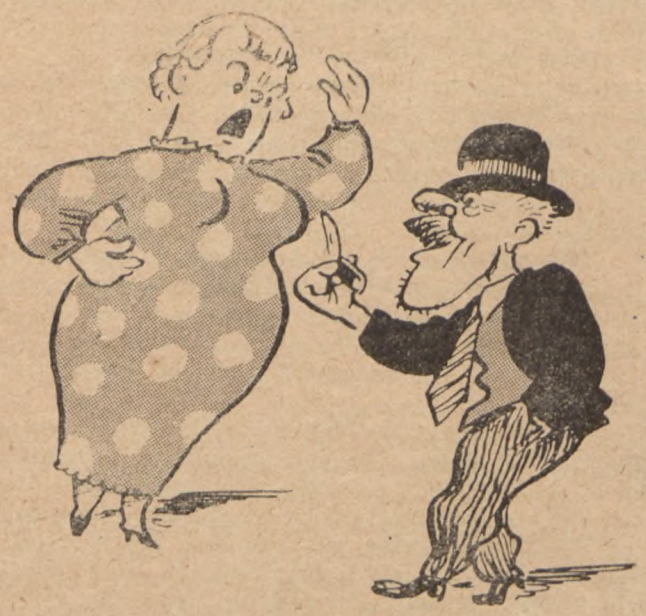

Żona: Obiecujesz więc, że nie będziesz już więcej pił?

Mąż: Tak, zobacz, zrobiłem już nawet pierwszy krok. Kupiłem sobie scyzoryk bez korkociąga.

Zadanie Nr. 30.

REBUS.

Zadanie Nr. 31.

ARYTMOGRAF. (Ułożył str. W. Ś.).

1, 2, 3, 4, 5, 6, 2, 7, 8, 1, 8, 3, 8, 9, 10, 11, 4, 3, 8, 12, 13, 7, 14, 13, 11, 15, 8, 14, 8, 6, 16, 10, 3.

Zamiast cyfr wstawić litery według podanego klucza i odczytać rozwiązanie.

Klucz:

a) 7, 2, 1, 8, 16, 4, 2 = państwo na dalekim Wschodzie,
b) 12, 4, 11, 10, 6, 2 = inaczej odwiedziny,
c) 3, 8, 15, 12, 2 = drzewo, którego liśćmi żywią się gąsienice jedwabników,
d) 9, 13, 15, 14, 13, 15 = mityczny trójgłowy pies, stróż bram piekła,
e) 5 = samogłoska.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 15 stycznia 1937 r. Jako nagrody za trafne rozwiązanie zadań Redakcja przeznacza:

1) K. Ujejski: Dzieła (3 tomy).
2) J. Grabiec: «Rok 1863».

ROZWIĄZANIA

«W służbie penitencjarnej» Nr. 13 z d. 1-XI-1936 r.

Zadanie Nr. 24: «W służbie penitencjarnej».

Klucz: a) cent, b) bieżnia, c) supeł, d) nerw, e) j.

Zadanie Nr. 25: a) wina, kara, b) czyś już dał na F. O. N.

Oba zadania na ogólną ilość 25 nadesłanych — bezbłędnie rozwiązało 23 osoby.

W rezultacie nagrody książkowe w drodze losowania otrzymują:

1) Sz. Askenazy: «Książę J. Poniatowski» — Władysław Śmieciuszewski st. strażnik więzienia w Łucku.

2) H. Mościcki: «Pod berłem carów» — Alicja Krupińska strażnik więzienia w Fordonie.

Wydawca: Kasa Wzajemnej Pomocy Funkcjonariuszów Straży Więziennej.

Redaktor: STANISŁAW SOKOŁOWSKI. Redaktor przyjmuje we wtorki i piątki w godz. 18 — 20.
Rękopisów nadesłanych do Redakcji nie zwraca się.

Cena pojedyńczego egzemplarza 30 groszy. Prenumerata miesięczna 35 groszy, którą należy wpłacać na konto P.K.O. 2668 Kasy Wzajemnej Pomocy Funkcjonariuszów Straży Więziennej.

Adres Redakcji i Administracji pisma: Warszawa, Daniłowiczowska 7 m. 4, tel. 11-60-26.

Druk. Dz. Pr. W. Warszawa, Rakowiecka 37.